

Nr 25
1999

ISSN 1427-4531
Indeks 3532804

cena 2 zł

GADKI z CHATKI

BIULETYN FOLKOWY

Folkowy Fonogram Roku'99

Mikołajki Folkowe'99

Jerzy Burdzy

Pole
Chońka

Antropologia i
fotografia

Stanisław Wyżykowski

GADKI z CHATKI

Spis treści

- Muzykowanie - wywiad z Jerzym Burdym - Agnieszka Matecka
- Idzie Maciek i śpiewa z Burczybasami - Mirosława Jankowska
- Antropologia i fotografia - Ewa Grochowska
- Warsztaty tańców węgierskich - Ewa Grochowska
- Folkowy Fonogram Roku'99
- Tradycja spełniona wyobraźnią - wywiad ze Stanisławem Wyżykowskim - Maciej Cierliński
- Pole Chońka - wywiad z zespołem - Maciej Szajkowski
- O „Podniesieniu” raz jeszcze - Agnieszka Matecka
- Travellin' Companion. A Musical Journey to Poland - recenzja płyty - Marcin Skrzypek
- I Festiwal Najstarszych Pieśni Europy - Marcin Skrzypek

ADRES REDAKCJI:

ACK UMCS "Chatka Żaka"
Radziszewskiego 16
20-031 LUBLIN
tel. (081) 5333-201 wew. 114
fax: (081) 5333-669, (081) 537-51-02
(e-mail): mikolaje@klio.umcs.lublin.pl
<http://www.mikolaje.lublin.pl>
<http://klio.umcs.lublin.pl/~mikolaje>

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania

Na okładce: Plakat Mikołajki Folkowe '99

REDAKTOR NUMERU:

Agnieszka Matecka, Marcin Skrzypek

KOREKTA:

Agnieszka Kowalska

SKŁAD:

Dorota i Waldemar Samociuk

Od Redakcji

Obserwuję, najczęściej niestety za pośrednictwem listy dyskusyjnej Muzykant (muzykant@plearn.edu.pl), ogromny natłok imprez folkowych i pokrewnych w stolicy. Nie wiem czy staje się to za sprawą „Sopot Festival”, czy sprawnych organizatorów i licznej publiczności. Popatrzcie tylko: koncert Adreasa Hagberga i „Kalako” w listopadzie w S1, drugiego grudnia „Podhale - źródła i fascynacje”, w którym wystąpiła kapela Jana Karpiela-Bułecki z Zakopanego z towarzyszeniem klawesynisty, tenora i Chóru Polskiego Radia pod batutą Antoniego Wita. Chodzą słuchy o koncercie kolęd Marii Pomianowskiej 23.grudnia. Gdzieś gra Dzezwa, u Bazylianów „Goście z Nizin”. W Adwencie Dom Tańca zaprasza na dwa spotkania z kolędami: 2 grudnia o godz. 19.00 i 9 grudnia o godz. 19.30 (o 17.30 dla dzieci). Będą pieśni adwentowe, kolędy i pastoralki nieznanne (z nagrań śpiewaczek wiejskich) i powszechne, ozdoby choinkowe i kartki świąteczne. Są też spotkania chóru u Dominikanów na Nowym Mieście prowadzone przez Andrzeja Struga. Tyle w stolicy. Szkoda, że aż sto sześćdziesiąt kilometrów od Lublina, że Szczecinie czy Kłodzku nie wspomnę.

Choć i tu na wschodzie atrakcji ostatnio nie brakowało. Pod koniec października Fundacja „Muzyka Kresów” zorganizowała I Festiwal Najstarszych Pieśni Europy. Wystąpiły bardzo ciekawe zespoły, były prowadzone, już nie po raz pierwszy warsztaty wokalne. Można nie być zwolennikiem sposobu współlistnienia z kulturą ludową proponowanego przez Fundację, ale wspaniałej muzyki zawsze warto posłuchać.

Nieco wcześniej odbyły się Dni Kultury Węgierskiej, podczas których sporo miejsca zajmował jakże bogaty folklor. Była niezmiernie ciekawa wystawa fotografii, warsztaty rękodzieła prowadzone przez szkołę rzemiosła ludowego w Nádudvar i warsztaty tańców (prawie jak w stolicy). Te ostatnie uświadomiły różnice w traktowaniu ludowej tradycji muzycznej pomiędzy „bratankami” i skłoniły redakcję do rozważań nad stosowaną również w Polsce metodą Kodaly'ą. Dowodem na poszanowanie muzyki na Węgrzech niech będzie nie tylko ilość domów tańca i grup muzycznych, które tak często gościemy w Polsce, ale też fakt że przeciętny Węgier chodzi na koncerty muzyki poważnej dziesięciokrotnie częściej niż statystyczny Polak.

Ostatnio w Lublinie koncertowało Kroke (o których szerzej w następnym numerze), a w tym tylko krótka informacja – wreszcie polscy miłośnicy ich talentu i muzyki żydowskiej będą mogli kupić ich trzy ostatnie płyty wydane dotychczas w Niemczech przez firmę Oriente - „Eden”, „Live in the Pit” i ostatnią „The sound the vanishing world”. Te ostatnie, bardzo autorskie, bardzo osobiste utwory łączą w sobie elementy wielu tradycji muzycznych i są próbą opisu podstawowych pojęć, nad których znaczeniem w dzisiejszych zabieganych czasach nikt się nie zastanawia. Odwiedziła też Kozi Gród kapela Trebuniów-Tutków prezentująca ostatni program - „Podniesienie”.

A w szerokim świecie, tzn. w Niemczech, ukazała się wydana przez WeltWunder Records składanka prezentująca polskie grupy folkowe. Ciekawe jakie wzbudzi zainteresowanie?

Agnieszka Matecka

Warsztaty tańców węgierskich

... odbyły się w Chatce Żaka w ramach II Dni Kultury Węgierskiej w Lublinie (przypomnijmy: w dniach 19- 23 .10.99). Zapowiadało się trochę atrakcji z tym związanych, m. in. koncert zespołu Karikás, grającego folklor węgierski właśnie; zespół ów miał również przygrywać „na żywo” miłośnikom tańca, chcącym poszerzyć swoje taneczne zainteresowania. Amatorzy przybyli tłumnie, zespół w ogóle nie dotarł do Polski, tancerze zaś, prowadzący warsztaty poradzili sobie przy muzyce z magnetofonu. Dodam tylko, że najwytrwalsi (w tym „instruktorzy”) dotrwali do późnych godzin nocnych.

Z Kovacssem Csabą, jednym z nauczycieli tańca (jak również języka polskiego w Debreczynie) rozmawia EWA GRO-CHOWSKA.

Czy tańce, których Państwo uczyli to tańce „czysto” węgierskie, czy też pewne ciekawe ich elementy pochodzą z innych źródeł?

Były to oczywiście tańce węgierskie, ale ludność węgierska żyje nie tylko w granicach administracyjnych kraju. Na terenach sąsiadujących żyje ok. 4 miliony Węgrów; ciekawe jest natomiast to, że grupy te, żyjąc na obszarach peryferyjnych zachowały o wiele starszy folklor niż np. w centralnych częściach kraju.

Czy w prezentowanych dziś tańcach dużo jest elementów nowych, zapożyczonych skądś, bądź pochodzących wprost z czasów nam współczesnych?

Raczej nie. Chodzi nam o to, żeby autentycznego folkloru nie przerabiać, nie poddawać zabiegom scenicznym. Dziś ludzie potrafią równie dobrze się bawić przy tańcach trudnych, wymagających nauczenia się skomplikowanych często kroków, przy tańcach autentycznych właśnie. Są one tworzywem, którego, według nas „przerabiać” nie wolno. Dziś można było poznać tańce np. węgierskich enklaw żyjących w

Rumunii; mimo tego że oni sami absorbują wpływy innych narodowości, np. Cyganów są to tańce autentyczne i charakterystyczne właśnie dla nich. My nauczając ich traktujemy je jako dorobek kulturowy, który nie potrzebuje dookreślenia i przetwarzania.

Proszę opowiedzieć trochę o najbardziej charakterystycznych tańcach węgierskich.

Zacznę może od mojego regionu, tzn. od północno-wschodniej części Niziny. Jest tu muzyka bardzo rytmiczna, folklor tutejszy dał tworzywo do uformowania się narodowego tańca - czardasza. Równie dynamiczne tańce są na terenach północnych i u Węgrów zamieszkujących tereny południowej Słowacji, tutaj często tańcom towarzyszy gra na dudach. Za Dunajem znajdujemy tańce dość proste, łatwe do opanowania w trakcie jednego wieczoru tanecznego, są one skoczne, ale odmienne od innych dynamicznych tańców węgierskich. Ciekawe są tańce grup węgierskiej ludności w Siedmiogrodzie, ponieważ jest to najbardziej odległa od centrum enklawa językowa. Tańce z Księstwa Siedmiogrodzkiego są majestatyczne, trochę wolniejsze. W centralnych Węgrzech jest tak zwany styl nowy, również w muzyce ludowej, opierający się na stylu czardaszowym, który odegrał ważną rolę w tworzeniu się folkloru góralskiego i rusińskiego w czasie monarchii Austro-Węgierskiej, kiedy Rusini z gór jeździli na równinę węgierską na żniwa. Można tu dostrzec dużo wpływów rumuńskich (m.in. w rytmice), ale tylko znawcy mogą to dostrzec, ponieważ przenikanie się dóbr kulturowych w takim stopniu jak tu, wzbogaca te tańce o wiele ciekawych, nie rdzennie węgierskich elementów. Ów styl dawny, majestatyczny i powolny może wydawać się egzotyczny; czerpał z niego bardzo dużo ruch neofolklorystyczny, uważał go za ciekawy i fascynujący.

Proszę sobie wyobrazić teraz młodego Węgra, który koniecznie chce nauczyć się tych tańców. Gdzie musi się udać?

Najlepiej do źródła, czyli gdzieś na wieś do wybranego dla danego tańca regionu. Oczywiście nie każdy młody tego chce, a jeśli już, to ma także inną możliwość, którą są Domy Tańca (GzCh nr 12) lub mniejsze grupy ludzi znające te tańce i chcące ich kogoś nauczyć. Jest to obecnie popularne w środowiskach akademickich i w większych miastach, gdzie do tańca przygrywają wyspecjalizowane kapele lub zespoły przyjeżdżające specjalnie w tym celu do miasta. U nas, w Debreczynie taka możliwość jest obecnie bodaj w każdą sobotę i niedzielę, można nauczyć się tańców z wielu regionów Węgier.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.



fol.: M. Kubiszyn



„wszak zdjęciem można mniej skłamać,
niż słowem pisanym...”

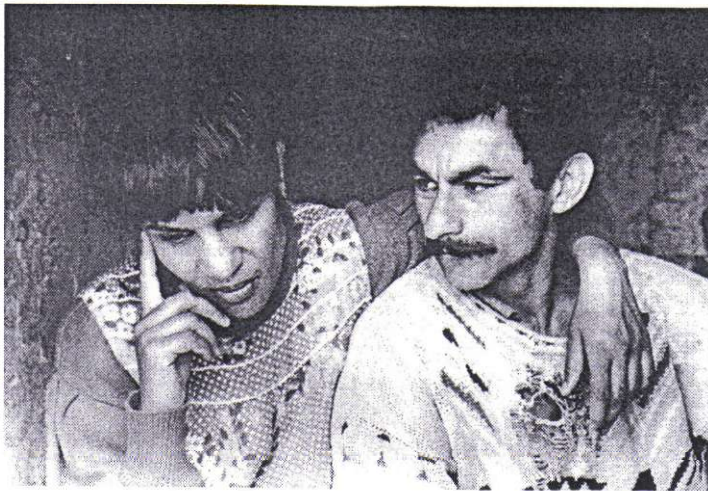
„ANTROPOLOGIA I FOTOGRAFIA”

Jakiś czas temu pisałam recenzję przedstawienia teatralnego, którego tworzywem i tematem przewodnim były fotografie, rodzinny album i losy przedstawionych na zdjęciach ludzi. Pomyślałam wówczas, że - oczywiście- lepiej robić zdjęcia niż pisać o nich, a jeśli już pisać ... no właśnie. Fotografia ma wiele wspólnego z filozofią (nb. kierunkiem moich studiów i osobistą fascynacją), obydwie mówią w gruncie rzeczy o tym samym: o ludziach, ich losach, sytuacjach dramatycznych, o uniesieniach, olśnieniach i odkryciach; także o szarości czy znużeniu. Różnią się podejściem, jedna to podejście teoretyczne, druga- praktyczne. A gdyby tak pomyśleć o filozofii fotografii? Widziałam kilka takich przedsięwzięć, zrealizowanych z podejściem praktycznym właśnie i o tym będzie poniższy tekst.

W czasie odbywających się w październiku Dni Węgierskich w Lublinie, miało miejsce otwarcie wystawy fotograficznej zatytułowanej „Antropologia i Fotografia”. Swoje prace prezentowali studenci i pracownicy

naukowi Katedry Antropologii Kulturowej i Wizualnej Uniwersytetu w Miskolcu. Komentujący prace katalog jest, jak się okazuje, nie tylko zwięzłym przewodnikiem po wystawie. Zawartość jego, równie istotna i ciekawa jak zdjęcia dowodzą prawdziwości postawionej wcześniej tezy o związkach filozofii i fotografii. Założycielem wspomnianej katedry jest Ernő Kunt, etnograf, malarz i artysta fotografik, a także filozof. Zajmując się między innymi ludową sztuką cmentarną mówi o niemożliwości sfotografowania zamkniętego świata przemijalności. Mówi i fotografuje jednocześnie, bo jak inaczej można zgodzić się na przemijanie, na które jesteśmy skazani już w momencie narodzin, na dramat związany ze świadomością, że kiedyś przyjdzie moment naszego odejścia z tego świata? Odchodzą ludzie, ale odchodzą również całe ich społeczności, grupy, narody i to w zaświaty najbardziej okrutnie możliwych, w zaświaty niepamięci. Fotografia, choć tylko częściowo, świat ten ocala, uwiecznia, przenosi w przyszłość. Takie przekonanie pojawiło się w wypowiedziach wielu, jeśli nie wszystkich autorów zdjęć. „...Oni zawsze są ze mną: na kasetach magnetofonowych, na kadrach filmu, na zdjęciach

również pod moimi powiekami. Nigdy nie potrafię bez niepokoju pojawić się wśród nich, jak i odejść bez wyrzutów sumienia. Dla mnie kultura cygańska znaczy o wiele więcej, niż tylko przedmiot badań antropologicznych. Możliwe, że przekroczyłem już ten próg, który jest wyjściem do szczyrego ich zrozumienia. Antropolog nie jest zdrajcą. To wszystko, czym dzielą się z nim ludzie, tylko dzięki tolerancji i podobnie wielkiej szczerości może on podać dalej tym, którzy w inny sposób, niedorzeczny i niezrozumiały odcięli się od zaakceptowania i zrozumienia inności. Aparat fotograficzny jest tylko zwykłym urządzeniem technicznym, którego zasady działania można bardzo łatwo przyswoić. Dla mnie fotografowanie jest raczej czynnością mającą podłoże psychologiczne. Jest sposobem komunikowania się; nigdy jeszcze nie zrobiłem zdjęcia, na którym nie widniałaby postać ludzka..." To fragment opisu do zdjęć, których autorem jest Bódi László - zdjęć opatrzonych wspólnym tytułem „Nie ma Boga w domu”, poświęconych życiu Cyganów ze wsi Sojokaza. Inną „motywacją” może być taka, jak na przykład na początku kariery naukowej Guly'asa Gyuli (obecnie profesora) zaspakajanie własnej fascynacji. Zajmuje się on głównie regionem Siedmiogrodu, także jako twórca filmów. Pięknym dopowiedzeniem jego zdjęć był, prezentowany w Teatrze NN film jego autorstwa pt.: „Powolny z Szeki”, będącym dosłownym przenoszeniem w czasie i przestrzeni, bowiem zdjęcia do niego realizowane były w długim okresie czasu, w latach 1962- 1992.



Kolejna autorka zdjęć, Krisztina Bozó przez pewien czas uczyła się wyplatania ze słomy w wiosce cygańskiej Bezid. O tamtych terenach, ludziach, miejscach, zdarzeniach mówi nie tylko jak naukowiec, podsumowujący efekty i dokonania. Opowiada pięknie, barwnie, z zafascynowaniem. Zdjęcia jej autorstwa przedstawiają jarmark w Negreni, odbywający się co roku w październiku. Zdjęcia są takie, jak jej opowieści. Słowa, rozpoczynające ten tekst, a pochodzące również z cytowanej już wypowiedzi B. László znakomicie uświadamiają na jak wiele sposobów można opowiadać historie. To prawda, że słowami także się kłamie, ale są one niejednokrotnie niezbędne do zrozumienia sytuacji przedstawionej na zdjęciach. Tak było w przypadku prac Krisztiana Bócsi, zatytułowanych „Maria, Józef i dziecko”. Zdjęcia, ale uzupełnione opisem przedstawiają nam wzruszającą historię małżeństwa upośledzonej umysłowo Marii i głuchoniemego Józefa i ich dziecka. Zrobienie tych zdjęć nie było sprawą łatwą i nieskomplikowaną; Krisztian przez długi czas przyglądał się ich życiu, prawie w nim uczestniczył, zresztą to akurat problem wielu fotografujących ludzi: jak nie czuć się intruzem, osobą z zewnątrz, którą poza nawias sytuacji czy grupy ludzi wyrzuca fakt używania w konkretnej sytuacji czarnego pudelka z pokrętami? Wszak trudno być w tym samym momencie obserwatorem i uczestnikiem jednocześnie.

Na wystawie znalazły się również niezwykle interesujące fotografie- kompozycje kart pocztowych z kolonii hutniczej w

Diosgydor. Autorzy zdjęć piszą: „Widokówki stanowią specjalną grupę fotografii. Obok tego, że posiadają funkcję użyteczną, wszak zdolne są przekazywać informacje pisane, najważniejszą ich cechą jest to, że mają charakter reprezentacyjny – dlatego zostały wybrane. Klasyczna widokówka zazwyczaj pokazuje coś, co jej twórca uważa za element charakterystyczny dla danego tematu czy też miejsca(...)”. Nasuwa się refleksja, że widokówki do pewnego momentu mają charakter jedynie reprezentacyjny. Wszak i budowle, a przez to związani z nimi ludzie kiedyś przestają istnieć, a pamięć o nich pozostaje i o ludziach także, przez to chociażby, co znajdujemy napisane na ich odwrocie.

Powyżej wybrane fragmenty wystawy skłoniły do refleksji, zaciekawiły czy zainspirowały. Rzecz, o której myślałam oglądając tę właśnie wystawę to coś z naszego podwórka, mianowicie „Zapomniany Gościńiec”, piękne fotografie znane wszystkim chyba, którzy zetknęli się z Orkiestrą św. Mikołaja. Domyślałam się, że motywy, skłaniające autorów tych zdjęć do ich zrobienia miały trochę inną naturę jeżeli chodzi o podejście badawcze czy dokumentacyjne. Są one zapisem pewnych chwil, sytuacji spotkanych gdzieś „w drodze”. W wielu przypadkach jednak zdjęcia Węgrów mają nie mniejszy ładunek emocjonalny.

Do Lublina przyjechała tylko część większej całości (całość była prezentowana w Galerii Pustej w Górnosląskim Centrum Kultury w Katowicach w 1998 r podczas festiwalu Artystycznego „Węgierska Wiosna” w Polsce). Wystawa ta jest, w zamysłu autorów, podsumowaniem pewnego okresu pracy.

Dla jednych - pracy prowadzącej do naukowych wniosków i uogólnień, dla innych, Kriszty na przykład, pracy nad „utrwalaniem świata rozpadającego się na naszych oczach, którego prawdziwe oblicze jest jeszcze dziś widoczne”, dla kogoś innego jeszcze pracy w dziedzinie, która – jak fotografia- „musi umieć w jakiś sposób zakonserwować coś z wymiaru ludzkiej przestrzeni i czasu, z obrazu świata”. Autorzy piszą także w języku antropologii: o wizualności (jako kategoria antropologiczna zastosowana do fotografii wymyślona została przez Ernő Kunta), obecności, komunikacji, asymilacji...

Dla mnie ta wystawa była przede wszystkim spotkaniem, zarówno w sensie metaforycznym jak i dosłownym. Tak się złożyło, że z autorami zdjęć spędziłam sporo czasu na rozmowach (nie tylko o wystawie) i piciu kupionego w polskim nocnym sklepie węgierskiego wina. Są naukowcy, dokonujący wielkich odkryć i nie potrafiący tego przekazać i są tacy, dla których „naukowość” w tym, co robią nie jest jedynym dążeniem i motywacją. W takich pracach widać nie tylko profesjonalizm i dokładność, widać również pasję, fascynację i momenty, gdzie na przykład robienie zdjęć przestaje być używaniem narzędzia, dokumentacją, wyprawą tylko naukową. To były takie zdjęcia i tacy ludzie. Pewna zaprzyjaźniona osoba zawsze, gdy rozmawiamy o zdjęciach, mówi że fotograf to nie człowiek z aparatem, ale z utalentowanymi oczyma.